№ 39. Warszawa, dnia 17 (29) Września 1877 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie. kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWCZA, w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

STUDYA Z LITERATURY POLSKIEJ

przez L. S. W.

III.

Elżbieta Drużbacka.

Mniemane upośledzenie kobiet w dawnej Polsce.—Stanowisko kobiety u plemion aryjskich.—Wpływ chrześciaństwa. Przeważny wpływ kobiet u nas dawniej i teraz. — Praca i wykształcenie kobiet w dawnej Polsce. — Kobiety autorki. — Zofia Oleśnicka. — Elżbieta Drużbacka; jej biografia. — Stanowisko Drużbackiej w historyi literatury. — Zalety i wady jej poezyi. — Szczegółowy rozbiór i próbki pracy Drużbackiej.—Wiersze opisowe.— Wiersze światowe. — Elegie. — Wiersze religijne, moralne i alegoryczne. — Zamknięcie.

Dzieje przekonywują nas dowodnie, że w dawnej Polsce stanowisko kobiety nie było wcale tak upośledzonem, jak to niektórzy przypuszczają. Podania współbajeczne o Wandzie i Rzepisze i późniejsze wiadomości historyczne o roli dziejowej Dąbrówki czeskiej, Ryksy żony Mieczysława II, Św. Kunegundy, Jadwigi i Salomei, Heleny wdowie po Kazimierzu Sprawiedliwym, spaczone podania o Ludgardzie żonie Przemysława i t. p., wszystko to świadczy wymownie, że niewiasty w Polsce, nawet w epoce średniowiecznej, którą przywykliśmy uważać za czasy barbaryńskie, nietylko zajmowały należne sobie stanowisko w rodzinie, ale nadto wpływały i na sprawy publiczne. Ta okoliczność, że niektóre z wymienionych księżniczek były cudzoziemkami, mało tu znaczy, gdyż polacy z pewnością nie byliby znosili ich mieszania się do spraw państwa, gdyby to miało być sprzecznem z ich obyczajem i przyjętemi pod tym względem wyobrażeniami narodowemi. Wiadomą jest rzeczą, że narody, u których kobieta z zasady skazaną jest na bierność i niewolę, niezdolne są do rozwoju cywilizacyjnego i dodatniego posłannictwa w dziejach. Otóż takiej zasady nie było nigdy nietylko u polaków i słowian w ogólności, ale i u całego szczepu aryjskiego, który począwszy od greków starożytnych, albo jeszcze i dawniej, gdzieś tam w Azyi środkowej założył podwaliny naszej cywilizacyi i następnie pracował i pracuje nad jej rozwojem. Nowsze badania historyków wykazały; że i w starożytności klasycznej, pogańskiej, grecko-rzymskiej, ujarzmienie kobiety było objawem nienormalnym, chorobliwym, występującym i zyskującym przewagę tylko w czasach upadku i zaćmienia cywilizacyi. Wpływ chrześciaństwa niewątpliwie dużo się przyczynił do poprawienia stanowiska kobiety; sama już nauka kościoła o Najświętszej Pannie wiele zdziałała w tym kierunku; ale grunt pod zdrowe pojęcia w tym przedmiocie oddawna był już gotowym w obyczajach i tradycyach ogólnie aryjskich. W każdym razie, jeżeli położenie kobiet w dawnej Polsce, wskutek potężnych wpływów dziejowych i warunków cywilizacyjnych niedostatecznie rozwiniętych, czasem i pozostawiało wiele do życzenia, to jednak i w ogólności i co się tyczy wyjątków, nie było nigdy u nas pod tym względem gorzej niż w innych krajach europejskich w tej samej epoce. Niemcy, w wygórowanej swojej zarozumiałości i w pretensyi do monopolu cywilizacyi, przypisują sobie podniesienie stanowiska kobiety w wiekach średnich, ale bezzasadnie. To co było dobrego w pojęciach niemców o kobiecie znajdowało się także, jako zasady aryjskie i chrześciańskie, u innych także narodów aryjskich i chrześciańskich, a jeżeli zasługę pod tym względem mamy mierzyć owocami, to należy przyznać, że historya i literatura niemców okazuje, że postacie i typy niezbyt sympatyczne; o wpływie bardziej ujemnym niż dodatnim, a przynajmniej typy i postacie dodatnie nie są ani wznioślejsze ani liczniejsze od napotykanych w świecie słowiańskim. Dzieje nasze przedstawiają niemniej wpływów kobiet, a więcej może wpływów dodatnich niż dzieje innych narodów. Nie tu miejsce uzasadniać obszernie to zdanie bezpośrednio do zakresu niniejszej pracy nie należące, które rzucamy tu tylko, jako bardzo prawdopodobne w oczach tych wszystkich, dla których historya nie jest obcą. Co więcej, może nawet w całych dziejach naszych wpływ kobiet przeważa, jak niegdyś w rządzie i polityce najsurowszego z państw greckich — Sparta, którą Arystoteles i Plutarch (ktoby się tego spodziewał?) nazywają państwem niewieściem. Przysłowie francuzkie „Cherchez la femme“ w odmiennem zastosowaniu wyrzeczone może dałoby się sprawdzić w dziejach naszych, w zastosowaniu do najważniejszych wypadków historycznych i zwrotów dla przyszłości znaczących, jak w dodatnim, tak ujemnym kierunku, choć i tutaj, zgodnie z tem co powiedziano wyżej o słabszych wpływach ujemnych kobiet w dziejach naszych, warto zwrócić uwagę, że nie mieliśmy ani Heleny, ani Klytemnestry, które według podań mitycznych tępiły swoje rodziny i przyczyniły się do zagłady miast i ludów, ani Brunhildy lub Fredegondy, które w ciągu lat kilkudziesięciu zalały krwią ziemię franków, ani Joanny neapolitańskiej, ani Izabelli żony Karola VI francuzkiego, ani Lukrecyi Borgia...

A ileż to, oprócz nawet wybitnych postaci historycznych, mieliśmy kobiet prawdziwie znakomitych i zasłużonych, choć sława stugębna nie o wszystkiem z nich mówi. Dość tylko przypomnieć, że według sprawdzonego spostrzeżenia, każdy znakomity człowiek miał matkę niepospolitą i godną miana kobiety, a ludzi znakomitych we wszystkich sferach działalności nam przecie nigdy nie brakowało.

Za dni także naszych, z wyjątkiem może nielicznych miejscowości i pojedynczych wyjątków, przypominających czasy średniowieczne, przedśredniowieczne albo jeszcze gorsze — wpływ kobiet na czynności mężczyzn jest potężny, jeśli nie przeważa-

jący, i to nawet we wszystkich warstwach ludności. Każdemu wiadomo, że nasz wieśniak nic prawie nie uczyni bez narady ze „swoją kobietą“ (co na zachodzie, a nawet w Niemczech, nie jest rzeczą zwykłą), a co się tyczy warstw średnich i tak zwanej inteligencyi, trudno tu wprawdzie o dokładne dane statystyczne, ale kto wie czy nie więcej mężów ulega żonom niźli żon mężom. Zostawać (mówiąc delikatniej) „pod trzewiczkiem“ za wstyd u nas ani za hańbę nie uchodzi: toż przecie u nas tylko istniał nieznany gdzieindziej obyczaj pić zdrowie płci pięknej z trzewiczka. Czy ten wpływ trzewiczka był i jest zawsze zbawiennym — to inna kwestya, której tu rozstrzygać nie będziemy, poprzestając na przypuszczeniu (choćby tylko przez grzeczność dla czytelniczek) że najczęściej bywa istotnie zbawiennym. Kto wie, może nawet wiadoma sentencya o długim włosie i krótkim rozumie była tylko wytworem bezsilnej złości i zemsty mężczyzn za to, że tak często ich długi rozum musiał i musi jeszcze ukorzyć się przed krótszym.

Bądź co bądź, niewątpliwym jest pewnikiem, że niewola, a nawet upośledzenie kobiet w rodzinie i społeczeństwie — oczywiście to ostatnie w szrankach naturalnego przeznaczenia kobiety — nigdy u nas ani dawniej nie istniało ani teraz nie istnieje. Gdzie więc nie ma niewoli, tam nie zachodzi potrzeba emancypacyi czyli wyzwolenia z niewoli, a więc wszelkie na ten temat deklamacye niektórych bardzo postępowych nowotorów w zastosowaniu do naszego społeczeństwa nie mają zgoła żadnego sensu i powinny być uważane za retoryczny zapęd lub za wynik dążności do wytworzenia nie istniejących kwestyi i zagadnień.

Cokolwiek inaczej, oczywiście było z zakresem pracy i z wykształceniem kobiet w dawnej Polsce. Co do pracy, kobiety warstw mniej wykształconych i uboższych pracowały zawsze, jak i dzisiaj pracują, zarówno i jednakowo; co się zaś tyczy warstw szlacheckich, kobiety tej klasy mniej miały pola do pracy niż obecnie, ale mniej także potrzeby pracować. Przy słabym w ogóle rozwoju działalności przemysłowej i społecznej, wobec przesądów szlacheckich, które, na wzór społeczeństw starożytnych, tylko służbę rycerską i narady publiczne uważały za godne szlachcica zajęcia, kobiety, wyłączone przez samą naturę, z obojga rodzajów tych zajęć, były skazane na szczupły zakres robót domowych, rodzinnych. Liczne fraucymery i dwory pańskie, obyczaj utrzymywania rezydentek, a wreszcie liczne klasztory, były dostateczną ucieczką dla szlachcianek mniej zamożnych, które własnego ogniska rodzinnego założyć nie zdołały. Co się zaś tyczy domowych zajęć i robót kobiecych, dziś z przekąsem lubimy wspominać o kądzieli i krosienkach, o „kucharskich“ zajęciach pań i panienek i t. d., ale w dawnych czasach to wszystko było niezbędnem, a i dziś może byłoby pożytecznem, chociaż nie jako jedyne zajęcie. Może nawet niektóre rodzaje tej cichej pracy domowej były godniejsze uznania niż dzisiejsze domowe i inne rodzaje pracy kobiecej. Tak np. bieliznę i odzież kobiecą, a po większej części i męską, przygotowywano w domu, z wielką oszczędnością wydatków na krawców, krawcowe i modniarki. Potrzebaż tu jeszcze wspominać o słynnych staropolskich apteczkach domowych i o chwalebnym zwyczaju przygarniania ubogich dzieci, które uczono niewielu wprawdzie rzeczy, ale niezbędnych i pożytecznych. W wielu dworach panie i panienki zajmowały się nauką dzieci włościańskich i robotami nietylko dla klasztorów i kościołów, ale także dla sierot i ubogich, choć wtedy nie było jeszcze kuryerów, przekazujących w druku nazwiska kwestarek i osób dobroczynnych. Pracowano, jak i o ile wówczas było można, a niekiedy bodaj że zamiłowanie pracy bywało silniejszem między kobietami niż teraz. Dużo dziś prawią o nowych drogach i sferach pracy kobiecej, ale, zdaniem naszem, niemniej, a może jeszcze więcej, wypadałoby pomyśleć o wzbudzeniu i podtrzymaniu *pracowitości*, ponieważ (wyznajmy prawdę) wielu bardzo paniom i pannom spółczesnym ich próżnowanie bynajmniej nie ciąży, a nie mając wielkiej ochoty do pracy, niektóre z nich zupełnie zadowolnione są z tego że nic nie robią, i z odkrywających się nowych dróg pracy korzystać nie kwapią się wcale.

Co się tyczy wykształcenia kobiet w dawnej Polsce, trudno dać dokładny pogląd na ten przedmiot, z powodu niedostateczności źródeł i charakteru ronmaitych epok dziejowych. O ile jednak wiemy, stopień tego wykształcenia zmieniał się — to podwyższał się, to obniżał, równolegle ze stopniem wykształcenia mężczyzn, lecz nigdy nie był w zbyt rażącej z wykształceniem mężczyzn sprzeczności. Nie jest bowiem prawdą, jakoby naukowe wykształcenie kobiet było u przodków naszych całkowicie i zupełnie zaniedbanem. Zdarzało się nam wprawdzie widzieć dokumenta z epoki saskiej, na których kobiety, nawet z domów zamożnych, podpisywały swoje nazwiska krzyżykami, gdyż nie umiały pisać, ale wypadki podobne były pewno wyjątkowemi i należą do czasów najsmutniejszych oświaty narodowej, kiedy i mężczyźni, pomimo scholastyki i alwara, mało co więcej posiadali rzeczywistej nauki nad umiejętność czytania i pisania. Za to z lepszych czasów posiadamy mnóstwo dowodów, świadczących że kobiety stanu szlacheckiego, niebardzo ustępowały mężczyznom pod względem wykształcenia. Szkół dla kobiet było wprawdzie niewiele: tylko po niektórych klasztorach i możnych domach prywatnych uczono dziewczęta szlacheckie, ale prababki nasze dużo czytywały i czytywać lubiły, podobnie jak i polki dzisiejsze, gdyż zdaje się, że i dzisiaj kobiety u nas czytają niemniej, a może więcej od mężczyzn (prawda że czytają najwięcej powieści, ale i mężczyźni czytają najwięcej rzeczy czczych i błahych — gazet politycznych). W pierwszym artykule wspominaliśmy o najdawniejszych książkach polskich z XVI wieku, dedykowanych kobietom; wspominaliśmy także o najdawniejszym u nas obrońcy praw kobiety do wykształcenia — Andrzeju Glaberze z Kobylina; niewątpliwie wypowiadane przez niego wymagania były też natchnione istotną potrzebą i z pewnością zostały, choć w części, urzeczywistnione w praktyce. W epoce stanisławowskiej, z odrodzeniem się oświaty, chociaż silnie francuzczyzną przesiąkłej, występuje znaczny poczet kobiet światłych i wysoko wykształconych (jak ks. Radziwiłłowa, Czartoryskie, Załuska, Mniszchowa i t. d.) Ciekawą jest rzeczą, że cudzoziemiec — astronom Bernulli, który zwiedzał Polskę w 1778 roku, w opisie swojej podróży (wydanym w zbiorze p. Liskego „Cudzoziemcy w Polsce“ Lwów 1876) mówi dużo o wykształceniu kobiet polskich i wyraźnie wypowiada swoje zdanie, że płeć piękna w Polsce oddawna celuje wykształceniem i nauką.

(d. c. n.)

DZIEWCZYNA.

Oj! wesołaż ja dziewczyna!
Wszystko mi się śmieje,
Dla mnie kwieci się dolina
Dla mnie wietrzyk wieje,
Dla mnie wschodzą ranne zorze
I wieczorne gwiazdki,
Dla mnie dałeś wszystko, Boże!
Na piosnki, powiastki.
Bo i któżby myślał w świecie
Przy tym niepokoju,
O powoju co się plecie
Po krzakach przy zdroju.
I o lichej tej ptaszynie
Co w wieczornym chłodzie
Śpiewa sobie na kalinie
W matuli ogrodzie.
Już ja o tem myśleć muszę
To mój kłopot cały,
Żeby w letnią skwarną suszę,
Kwiatki nie zwiędniały;
Żeby chłopcy nie wybrali
Małych ptasząt z gniazdka,
Zdrój oczyszczam, żeby w fali
Przejrzała się gwiazdka.
Za to od lilii, ruty,
Kwiatki mam dla siebie,
A ptaszek mnie uczy nuty
Do pieśni o niebie.
Od zdroju mam orzeźwienie,
Tę świeżość poranka,
A z gwiazd lecą mi promienie
Jakby srebrna tkanka.
I tak dobrze, tak mi lekko
U matki jedynej,
Że i nie wiem jak tam cieką
Lata, dnie, godziny.
Czasem tylko gdy do chatki
Zła wieść zakołacze,
To na łonie drogiej matki
Żal nad ludźmi spłaczę.
Bo chociaż ja tak wesoła,
Taka śmieszka psotna,
Lecz i najsmutniejsza z sioła
I często samotna.
Lada co, to mnie ucieszy,
Lada co zasmuci,
Czasem mała rzecz rozśmieszy,
Mała rzecz zakłóci.
Teraz to mniej śpiewam sobie
Mniej skaczę jak dziecię,
Od czasu jak brat mój w grobie
Smutniej mi na świecie.

* * *

MARYA.

Powieść

przez El. Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

Usiadł znowu i przeciągając dłoń po zbrużdżonem czole, wymówił więcej do siebie jak do mnie.

— Co prawda, wszystko to stało się z własnej mojej winy. Od jakiegoś czasu mniej pilnie czuwam nad interesami jak zwykle... mniej o nie...

Chciał zapewne powiedzieć: mniej o nie dbam! ale powstrzymał się. Jakżeby potem wytłómaczył troską o interesy, wyraz cierpienia, który na twarzy jego dostrzegłam.

Teraz, stanęło mi przed myślą coś, o czem byłam zapomniała przez czas jakiś. Stanął mi przed myślą jeden z łączników wiążących małżeństwa i rodziny: wspólność interesów. Tak; idzie ona w parze ze wspólnością uczuć i żadno uniesienie poety-

czne, żaden sofizmat namiętności nie zdoła zaprzeczyć jej miejsca wśród różnostronnych obowiązków i solidarności ludzkich. Myślą i tęsknotą wybiegłam była po za ściany domu i oderwałam odeń myśl i uwagę tego, w czyjej dłoni i głowie spoczywają rządy jego i losy. I oto kruszyć się zaczęła budowa pomyślności rodzinnej... dezercya moja, pozostawia niszczące ślady nietylko w dziedzinie uczuć ale echami jej są jeszcze ruina domu i krzywda dzieci.

Znękana byłam i milcząca. Michał kilka razy zwracał ku mnie twarz tak jakby chciał coś powiedzieć, ale wahał się widocznie i długo.

— Trzeba, rzekł nakoniec, abyśmy pomówili z tobą Maryo, o jednej jeszcze sprawie. Żądałaś kiedyś aby Porzewin uznanym był prawnie w połowie dziedzictwem mojem. Spełniłem wtedy życzenie twoje i dokonałem wszelkich należnych formalności. Myślę jednak że należy rzecz tę przerobić i znowu Porzewin przyznać w obec prawa wyłączną własnością twoją. Wszak ja tam nic, zupełnie nic swego nie włożyłem. Trzeba więc abyś w każdej chwili rozporządzić się mogła dowolnie poojcowską fortuną.

Jakże wyrazy ludzkie najprzerozmaitsze posiadać mogą znaczenia! Na pozór, słowa wymówione przez Michała odnosiły się do najpowszedniejszego: majątkowego interesu. Dla mnie jednak miały one w sobie coś z posępności przedśmiertnego testamentu. Czułam w nich umierającą przeszłość moją.

Długo nie mogłam przemówić. Michał oczekiwał odpowiedzi mojej ze wzrokiem wpatrzonym w ziemię.

— Wszak wiesz, Michale, ozwałam się nakoniec, że najżywszem życzeniem mojem jest, aby Porzewin otrzymała kiedyś po nas Natalka. Ponieważ zaś jest ona dzieckiem zarówno mojem jak twojem...

Nie dokończyłam bo pochwycił moją rękę i przycisnął ją do ust.

— Spodziewam się, rzekł po chwili, iż wiesz że nie za połowę Porzewina dziękuję ci, ale... ale za przywiązanie twoje do mego dziecka...

Radość która mu wzrok rozjaśniła zniknęła wkrótce.

— Jednak, rzekł ciszej, nie uważaj się za związaną słowami które wyrzekłaś. W każdej chwili, gdy zechcesz wrócić do całego dziedzictwa swego, powiedz mi jedno tylko szczere słowo a stanie się według twej woli.

Raz już kiedyś powiedział do mnie te same zupełnie słowa: „jeżeli kiedy zobaczysz szczęście twe gdzieindziej, powiesz mi tylko jedno szczere słowo a stanie się według twej woli.“

Zobaczyłam szczęście moje gdzieindziej... szłam tu aby mu to powiedzieć. Nie powiedziałam i nowe wyrzekłam przyrzeczenie. Był we mnie głos zadowolenia i był głos buntu, ale skarga serca zagłuszała cichą pochwałę sumienia.

Milczeliśmy długo. Uleciał od nas pogodny anioł wzajemnej ufności... może na zawsze! Żal mię ogarniał po nim. Wspomniałam nagle o wszystkich godzinach które tu, w tych samych ścianach, spłynęły mi tak spokojnie, tak pracowicie, tak przeczysto i uczułam że duża łza zawisa na mojej rzęsie. Z za niej, jak z za mgły, widziałam bladą i wzywającem okiem we mnie wpatrzoną twarz Adama!

Sztywna i niema powstałam z krzesła. Michał podał mi rękę.

— Blada jesteś i zmęczona, rzekł zcicha, idź spocznij!

Kiedy byłam przy progu już uczynił takie poruszenie jakby chciał zbliżyć się do mnie i coś jeszcze powiedzieć, powstrzymał się jednak i pozostał w głębi pokoju sam jeden, tak jak ja sama jedna, bardzo powoli wstępowałam po wschodach. Lampa, którą niosłam drżała mi w ręku tak, jak chwiały się i drżały przed splątaną myślą moją treść i przyszłość istnienia mego, podkopanego nagle i w najgłębszych swych podstawach.

Weszłam do sypialni mojej zesztywniała cała od niemego osłupienia. Tak więc bywa i być musi na świecie? takiemi są historye wszystkich postanowień świętych i pięknych zapałów? Któż może mieć pod stopami swemi grunt stały i niezachwiany jeżeli ja go nie miałam? O! chwiejności, nikczemności wszystkiego co na ziemi!

Uczuć podobnych moim w chwili owej, doświadczać mógłby architekt-artysta, któryby długo, długo budował gmach w myśli wypieszczony, od pierwszych dni młodości wyrojony i kochany i nagle spostrzegł że kruszą się podstawy jego i rysują się ściany. Ja także długo myślałam że życie moje będzie w swoim zakresie arcydziełem cnoty, rozwagi i pracy, aż oto zarysowało się ono skazą... Czysta byłam jak dyament i taką zajść pragnęłam aż do mogiły, aż oto kobiety budzące dotąd we mnie pobłażliwą litość, przychodzą aby na czole mojem złożyć pocałunek wspaniałomyślnego przebaczenia!

Opinia świata, skarb najdroższy kobiety każdej.

Moim najdroższym skarbem była opinia ta którą sama o sobie miałam. Wierzyłam w siłę przekonań moich i w sprawdzalność mych ideałów... Cóż, w obec utraty wiary najdroższej, znaczy opinia świata?

Siedziałam tak w mrocznym pokoju skamieniała w myślach, z palącym uśmiechem szyderstwa na ustach. Kilka razy do uszu moich, doleciały z dziecinnych pokojów niespokojne jakieś szelesty. Byłabym biegła dawniej. Teraz nie uczyniłam poruszenia żadnego i nie uczułam nic, ani niepokoju ani chęci zobaczenia dzieci. Wielki Boże! można tak nagle zobojętnieć dla istot nad któremi przepędziło się wiele nocy bezsennych, z któremi zeszło wiele dni wesołych, których niegdyś uśmiech każdy lub jęk budził radość lub trwogę!

Nagle wśród ciszy nocnej rozległ się odgłos grzechotki nocnego stróża. Zadrżałam od stóp do głowy. Odgłos ten brzmiał na ulicy, za ogrodem, tuż pod oknami *jego* mieszkania. Obudził go może. Obudzony myślał on może o mnie. Pękły okowy które opasywały mi serce szyderstwem zwątpienia. Upadłam na klęczki i płakałam! płakałam!

Nie mam siły pisać dłużej, Klementyno. Chcąc dotrzymać danego ci przyrzeczenia wkrótce zapewne napiszę znowu do ciebie, minęła bowiem dla mnie pora rzeczy zwyczajnych. Spodziewaj się niezwyczajności, Klementyno, spodziewaj się wszystkiego bo na tej biednej, drżącej pod stopami ludzkiemi ziemi, wszystko stać się może.

Marya.

LIST XXI.

Jerzy do Adama.

Warszawa 30 Kwietnia.

List twój, drogi mój Adamie, otrzymałem w dniu właśnie w którym wiele rozmawiałem o tobie ze sławnym naszym i czcigodnym doktorem i profesorem Ch.

O treści rozmowy naszej donieść ci jestem obowiązanym z dwóch względów, naprzód dla tego że mię o to choć niewyraźnie proszono, następnie, że przychodzi ona dla ciebie bardzo w porę.

Znajdowałem się kilka dni temu w pewnem licznem towarzystwie, które, nawiasem mówiąc, zadziwiałem niezwykłą wcale posępnością swej fizyonomii. List twój siedział mi w głowie i jak ciężki kamień przyciskał sobą całą moją towarzyską wenę. Nie mogąc w żaden sposób błyszczeć humorem i dowcipem, rzuciłem towarzystwo dam i braci beletrystów i wmieszałem się pomiędzy mężów uczonych.

Tu, zbliżył się do mnie profesor Ch. Znasz sympatyczną powierzchowność tego księcia nauki naszej i ten magnes szczególny którym pociąga on ku sobie ludzką życzliwość i ufność. Po kilku uprzejmych wyrazach któremi zaszczycić raczył moją ubogą powieściopisarską godność, profesor przystąpił do sprawy dla jakiej umyślnie, jak mi się zdaje, zbliżył się do mnie.

— Mówiono mi, rzekł, że zostajesz pan w bliskich stosunkach znajomości i przyjaźni z doktorem Adamem Stroszem.

Powiedziałem że na ten raz, głos ludu jest głosem prawdy, że w istocie doktór Adam Strosz jest najlepszym, prawdę mówiąc, jedynym prawdziwym przyjacielem jakiego posiadam na świecie.

— Musisz pan więc miewać częste od przyjaciela swego wiadomości, ciągnął profesor, jakże mu się powodzi w Ongrodzie? czy zadowolonym się czuje z miejsca pobytu swego i czy nie życzyłby sobie zamienić go na inne?

Czując ciągle ostatni list twój ciężący na moim mózgu, tak sobie ex prompto i na własną odpowiedzialność odrzekłem że i owszem, radbyś był, o ile mi się zdaje, porzucić Ongród, gdyby ci się na szerszym jeszcze świecie trafiła sposobność odpowiednia zużytkowania zdolności twych i nauki.

Profesora słowa moje ucieszyły widocznie.

— Zdolności te są niepospolite i również niepospolitym jest zasób nauki, który doktór Strosz wykazał w pismach swych, w ostatniem mianowicie obszernem swem dziele. Z przyjemnością słyszę od pana że nie myśli on zagrzebywać się na prowincyi przez całe życie ale że możemy mieć nadzieję ujrzenia go kiedykolwiek tu, pomiędzy sobą.

— Znam doktora Adama nietylko z pism jego i opinii ale trochę i osobiście, ciągnął dalej profesor, przed kilku laty bowiem traf zagnał mię w odległe Poleskie strony i tam, w zakącie jakimś, noszącym miano, jeżeli się nie mylę, Białoboru, miałem prawdziwą radość spotkania się z młodym i uczonym lekarzem, który młodość i uczoność swą oddawał w ofierze świętemu lecz ciężkiemu dziełu niesienia pomocy i oświaty najniższym warstwom narodu. Wyznam Panu że w obec panującej dziś chciwej pogoni młodzieży naszej za karyerą, blaskiem i użyciem, to zrzeczenie się wszystkich gwarów i świetności życia, to ciche i bezinteresowne oddanie się całą duszą powołaniu swemu, uderzyło mię w niewymownie przyjemny sposób. Powszechną także w okolicy tamtej była opinia że doktór Adam jest nietylko wysoce uczonym ale także prawdziwie dobrym i moralnym człowiekiem. Mówiono mi że życie jego odznaczało się przesadzoną niemal surowością przyzwyczajeń i obyczajów...

Możesz domyśleć się że gdy czcigodny interlokutor mój umilkł, ja puściłem z kolei wodze elokwencyi swojej i malowałem portret twój najwierniej jak tylko mogłem.

Kiedy umilkłem, profesor rzekł.

— Ongród jest prawdziwie szczęśliwem miastem posiadając takiego lekarza i takiego człowieka. Ale my zazdrościmy mu szczęścia tego i nie czynilibyśmy nawet sobie skrupułów żadnych gdybyśmy mogli mu je odebrać.

Ogniska wiedzy potrzebują kapłanów z czystemi rękami i świętym ogniem w głowach. Tu, u samych źródeł wiedzy, wyrabiają się uczeni i ludzie, którzy potem roznoszą po całym kraju dobre wieści światła i postępu. Pomiędzy tymi którzy trudnią

się kształceniem młodzieży, wielu jest powołanych lecz niewielu wybranych. Doktór Adam byłby z pewnością jednym z wybranych, gdyby tylko zgodził się na to aby zostać powołanym.

Tu nastąpiło coś nakształt dyplomatycznego półzwierzenia. Profesor mówił mi o jednej z wakujących od niedawna katedr profesorskich na uniwersytecie tutejszym i o ważnych a wszechstronnych interesach wiążących się z wyborem człowieka któremu na katedrze tej zasiąść przyjdzie.

— Osiągnąć stanowisko to, ciągnął dalej, nie jest dziś rzeczą tak łatwą ale nie jest też i niepodobną. Trzeba tylko aby kandydat znajdował się tu na miejscu i uczynił wielustronne konieczne kroki i przygotowania. Przybysz, nie byłby zapewne powitanym tu otwartemi ramionami przez *wszystkich.* Ale na wszystko są sposoby. Wiem zaś z pewnością o tem że nietylko ja ale i kilku najlepiej dla nauki i kraju intencyonowanych kolegów moich, uczyniłoby wszystkie możliwe starania aby żądanie w tej mierze, człowieka według wyobrażeń naszych poprzeć i do szczęśliwego rezultatu doprowadzić. Przesyciliśmy się miernością. Trzeba nam koniecznie odkrywać prawdziwą wyższość gdziekolwiekby się znajdowała i pociągać ją ku sobie. Inaczej zmalejemy do szczętu.

Długo jeszcze profesor mówił do mnie w ten sposób aż nakoniec rzekł:

— Jeżeliby doktór Strosz objawił w tych czasach żądanie opuszczenia Ongrodu, chciej mię pan łaskawie natychmiast o tem uwiadomić a skomunikuję się z nim sam listownie i mam wszelką nadzieję że potrafimy go tu pomiędzy nami umieścić, na pociechę serc naszych i pożytek naszej młodzieży.

Wiesz, Adamie, jak wysokiego poważania doświadcza profesor Ch. nietylko w świecie uczonym ale i w sferach oficyalnych, jak wiele słowo jego waży *wszędzie* i jak bardzo ułatwionemi bywają drogi tych, których przyjazna dłoń jego w szeroki świat wprowadza. Rozumiesz też zapewne znaczenie uczynionego ci przez pośrednictwo moje przedstawienia i niepodobnem jest aby perspektywa otwierająca się przed tobą, perspektywa śród której widzieć możesz dla siebie wysokie dostojeństwo i pole dla wyższej jeszcze zasługi, nie pociągnęła cię ku sobie uśmiechem pięknej nadziei i ambicyi.

Bezpośredniej odpowiedzi na list twój niedam ci żadnej. „Serce i potok ostrzegać daremnie.“ Przebacz poecie tę poetyczną ale arcy prawdziwą cytacyę.

W zamian proszę cię usilnie o jaknajprędszą odpowiedź którą mógłbym zanieść profesorowi Ch. Nie kładnę żadnego nacisku na twoją wolę, dla tego chociażby, iż wiem że na nicby się to nie zdało. Parę zdań tylko wygłoszę: dobre szanse rzadko kiedy powtarzają się dwa razy w życiu i namiętność wszelka jest płomieniem który prędzej lub później wypala się i gaśnie, obowiązek zaś gruntem stałym na którym stoi wszystko co jest dobrego i pięknego na tym biednym świecie.

Obowiązek wzywa cię tu Adamie a wszak do niedawna jeszcze pełnienie go było nietylko zadaniem ale namiętnością i szczęściem twego życia.

Odpowiadaj jak najprędzej.

Jerzy.

LIST XXII.

Marya do Klementyny.

Ongród, 1 Maja.

Dopomóż mi Klementyno! radź mi! ratuj mię! Zeszłam na szczebel na którym zajrzało mi w oczy, kłamstwo!

Po tem widzeniu się w ogrodzie nie widziałam Adama przez cały tydzień. Nie przychodził. Przez dwa ubiegłe wprzódy miesiące nie oczekiwałam i nie wzywałam go. Teraz każda sekunda mego życia, każde uderzenie mego serca było oczekiwaniem.

Nie należę już do ścian tych śród których żyję ani do ludzi którzy mię otaczają. Jestem cała, ciągle u ścian domu tego co stoi za ogrodem.

Parę dni temu siedziałam przy oknie pracowni mojej, więc w miejscu od którego odrywanie się męczy mi wolę wysileniami o jakich dawniej pojęcia nie miałam, gdy zobaczyłam otwierającą się furtkę ogrodową. Wszedł do ogrodu naszego.

Zerwałam się z miejsca a potem nie mogłam już usiąść znowu albo stać i czekać. Siła niepokonanej niecierpliwości wiodła ku niemu. W domu zresztą było jak zawsze pełno ludzi. Z całej mocy mojej pragnęłam spotkać go tam, na której z zielonych, cichych i już cienistych dróg ogrodowych.

Biegłam przez pokoje nawpół tylko przytomna. Jedną tylko myśl miałam w głowie: uprzedzić go, spotkać go przedtem nim wejdzie na wschody.

U dołu wschodów twarzą w twarz spotkałam się z Michałem. Stanęłam jak wryta a on biorąc moją rękę, zapytał zwykłym zupełnie głosem.

— Dokąd tak śpieszysz Marciu?

Och! co za męczarnia! Jakże powiedzieć mu mogłam: śpieszę, bo chcę minutą pierwej powitać człowieka, za widzenie którego przez jedną minutę oddałabym całe życie?

Skłamać więc? wymyślić naprędce jaką przyczynę wzruszenia i pośpiechu? Nie; do tego stopnia nikczemności nie doszłam jeszcze. Odetchnęłam z głębi piersi i całą siłą poskramiając drżenie ciała i głosu, rzekłam:

— Zobaczyłam przez okno idącego tu p. Adama i szłam na jego spotkanie.

Nie widziałam jaką była twarz Michała gdy to mówiłam bo zrobiło mi się na moment ciemno w oczach. Usłyszałam tylko głos jego.

— Pójdziemy więc razem, rzekł.

I położywszy rękę moją na swojem ramieniu razem zemną wszedł do ogrodu. Spotkaliśmy tak nadchodzącego we dwoje. Na widok twarzy Adama doznałam okropnego ścieśnienia serca. Inaczej wyglądał on wcale gdy widziałam go przez okno wchodzącego do ogrodu. Teraz blady był trochę i bardzo zimny. Powieki miał spuszczone i usta silnie zwarte. Powitał nas chłodnym ukłonem i ceremonialnem uchyleniem kapelusza i zaraz zapytał czy nie jest komukolwiek w domu potrzebnym. Michał odpowiedział uprzejmie że wszyscy w domu są zdrowi ale mimo to szczerze rad będzie widzieć u siebie dawno niewidzianego gościa. Ja milczałam. Za żadną cenę wyrzecbym nie mogła ani jednego słowa.

— Dziękuję panu za zaproszenie, odparł Adam, ale pomimo chęci przyjąć go nie mogę. Chorzy i liczne zajęcia czekają na mnie. Przyszedłem na chwilę ale widząc się niepotrzebnym odchodzę.

Oddał mi ponowny ukłon i dotknął ręki podanej mu przez Michała.

Milcząc zrazu, potem mówiąc o obojętnych jakichś rzeczach Michał zwolna oprowadził mię dokoła ogrodu. Raz mimowoli rzuciłam wzrok na otwarte okna domu i spostrzegłam w nich kilka twarzy kobiecych. Były to stare ciotki Michała i jeszcze jakieś przyjaciółki Klotyldy. Teraz dopiero przypomniałam sobie że kobiety te były od rana w naszym domu. Czy Michał wiedząc o obecności ich wiedział także iż spoglądać one będą przez okna na spotkanie nasze z Adamem i obecnością swą osłonić chciał dobrą moją sławę?

Uwaga ta przemknęła mi tylko przez głowę. Cała myśl moja krążyła około kilku pytań: dla czego odszedł on tak nagle? dla czego był blady taki i zimny? zkąd ten błysk żalu zmieszanego z gniewem który spostrzegłam w oku jego gdy stał przed nami i grzeczne, chłodne słowa zamieniał z Michałem? Zkąd, pocóż pytać? z pod spuszczonej powieki, patrzał on wtedy na rękę moją złożoną na ramieniu Michała?

Przeznaczonemże mi więc było poznać wszystkie nędze kobiety, należącej do człowieka jednego z myślą o innym!

Nie! ja położenia takiego dłużej znieść nie potrafię.

Wkrótce zapewne przyjdzie chwila w której powiem Michałowi wszystko. A jednak jak to ciężko, o! jak ciężko! trzeba mi więc będzie śmiertelnie zranić człowieka który tyle dobrego dał mi w życiu i poraz ostatni uścisnąć jego dzieci. Chyba serce pęknie mi z żalu, bo ja kocham te dzieci, Klementyno, kocham je jak dobrych aniołów które długo oskrzydlały mi życie wesołością bez skazy i rozkoszą niewinnych pieszczot, jak rozpoczęte dzieło w którego przyszłość wkładałam długo najlepszą część moich nadziei.

Więc wyrzec się tamtego i powiedzieć sobie: nigdy! O! nie mogę! Gdyby ktokolwiek mógł spojrzeć we mnie powiedziałby z pewnością: ona nie może!

Czy ty wiesz, Klementyno, czem jest śmiertelny smutek? Wiele o tem prawili ludzie ale posłuchaj jeszcze określenia mego. Człowiek śmiertelnie smutny nie płacze, nie wyrzeka głośno, nie wzdycha nawet, owszem spełnia codzienne czynności swe z regularnością machiny, słucha rozmów otaczających go ludzi i w sens ich usiłuje wnikać, odpowiada nawet, uśmiecha się nawet gdy wypada, ale jeżeliby mu moc jakaś wszechwiedna i niezaprzeczalna oznajmiła że jutro on umrze, wyciągnąłby załamane dłonie i zawołał: tak nieprędko!

Kwadranse całe wpatruję się w portret mojej matki i zapytuję: czy to po niej odziedziczona krew zagrała nagle w żyłach moich burzą i buntem? czy traiczna dola jej spadnie mi także dziedzictwem po niej? Biedne, drogie dzieci moje! Biedny domie mój z którego czynić miałam zawsze pracownię wyrabiającą charaktery i rozumy ludzkie, ognisko rozsyłające na otaczającą je przestrzeń promieniowania światła i ciepła... Nie, Klementyno! ja uczynić tego nie mogę! to niepodobna...

...Przed chwilą słyszałam że ktoś śpiesznie szedł po wschodach. Ręka mi jeszcze drży... myślałam że to... Nie.

To Michał biegł do mnie z wiadomością która kiedyś uczyniłaby mię bardzo wesołą. Powiedział mi że sprawa z Porzewinem całkiem już załatwiona i że za parę tygodni będziemy mogli pojechać tam wszyscy. O ile ucieszyłabym się niegdyś o tyle przelękłam się teraz. Odjechać ztąd...

(d. c. n.)

MASZKARY.

Obrazek dramatyczny w dwóch odsłonach, z życia ludu wiejskiego ułożony.

(Dokończenie).

SCENA VII.

Ciż sami — Śmieszek i reszta gromady.

Śmieszek (kręcąc się woła). Hej, Maszkary, Maszkary (stając na przodzie sceny) — kto ma uszy, niechaj słucha! Wisła ogniem się zajęła, i płomie-

niem w świat płynęła, ryby wszystkie pogorzały i do Gdańska się dostały; takie dziwy, takie czary, wyprawiają nam Maszkary. Ludzi śmieszą, mądrych cieszą, a głupcowi zawsze wadzą, bo już mu nic nie poradzą — (obiega scenę). Hej Maszkary, Maszkary!

(wybiegają od drogi małe dzieci, dalej skrzypek z basetlistą wygrywa obertasa. Za nimi gromada ludu wiejskiego, między którą mieszczą się i osoby występujące następnie. Cała ta gromada w długim szeregu ze swobodą i wesołością przechodzi wolno tuż przed siedzącymi, wita ukłonem i przesunąwszy się przodem sceny, zatrzymuje się w głębi).

SCENA VIII.

Ciż sami i gromada przybyłych.

(Osoby występujące w Maszkarach są stosownie z komizmem ucharakteryzowane i odpowiednio ubrane z przesadą — w maskach z papieru lub bez masek. Nauczyciel mizerny na twarzy w surducie szczupłym, z rękawami zbyt krótkiemi, w spodniach także o krótkich nogawicach, w podobnej kamizelce, z chustką wielką obwiązującą mu grubo szyję, ma wielki nos przyprawny, sztuczne brwi i wielkie wąsy. Występuje na środek przed gromadę, zwraca się ku niej, daje znak uciszenia).

Nauczyciel (z przesadą). Cicho dzieci, niechaj leci cisza od was — (zwraca się do siedzących). Sąd prześwietny słuchać będzie spraw wywodu, więc jak uczą nas za młodu, uczcić trzeba opiekunów naszej doli, która boli kiedy głodno, a gdy chłodno, tęgo wierci — (kuli się i drży jakby z zimna).

Gromada. A juścić, a juścić! kto to taki?

Jeden z obecnych. Ktoś ze wsi okolicznych.

Nauczyciel. Więc krzyknijmy: niechaj żyją!

Gromada. Niechaj żyją!

Nauczyciel. I niech tyją! bo w chudości bolą kości!

(Gromada śmieje się).

Glinka (powstaje). Dziękujemy za powitanie i nawzajem witamy was okrzykiem: Niech żyją nasi goście!

Siedzący (powtarzają). Niech żyją, niech żyją!

(Gromada ze szmerem kłania się dziękując).

Błażej (powstaje). Moi sąsiadowie i sąsiadki i wszyscy okoliczni ludzie, coście nie żałowali swoich kroków, aby starym obyczajem zabawić się w naszych Grocholicach, niezapominajta że i w wesołości poczciwe zachowanie przynależy. Stary ten zwyczaj nie za nas powstał i nie za nas zaginie. Lipa co pod nią siedzimy, niejeden już raz patrzyła na takie ludzi zebranie, szanujcie ją żeby w czem nie szwankowała. Lipę zasadziła ręka naszych ojców, i rozrosła się z malutkiej latorośli, tak i zwyczaj Maszkarów wyrósł z małej rzeczy i dziś przemienił się w uciechę do której garną się i młodzi i starzy, i państwo, i gospodarze z gospodarzami, i młódź wiejska i oficyalistowie. A teraz, kiedym to rzekł, zaczynajta jak wypada.

Gromada. Mądrze wypowiedzieli, mądrze, mądrze!...

Nauczyciel. Prześwietny sądzie. Najprzód ja wnoszę swoje zażalenie.

Glinka. Któż jesteś Maszkaro.

Nauczyciel. Dawniej byłem nauczycielem, dziś jestem tylko.. baka...łarzem, czyli łazarzem co świeci bakę, aby z głodu nie umrzeć.

Śmieszek. Mądra głowa, radzić umie, piu, piu! (kręci głową).

(Gromada śmieje się).

Nauczyciel. Uczę języka umarłych.

Śmieszek. A co więcej?

Nauczyciel. Umarłych języka.

Śmieszek. Wspaniale! w wieczności tylu niebosczyków, cóżby człowiek robił, gdyby nie umiał się z niemi rozmówić. Bene, bene!

Nauczyciel. To zażyj tabaczki (częstuje go).

Śmieszek. To uczniowie twoi muszą myśleć także i mówić jak np. Rzymianie?

Nauczyciel (trzęsie głową). A to po co?

Śmieszek. Bene, bene. Z myśli grzechy się rodzą, a z rozmowy zgorszenie.

Nauczyciel. Gadasz jak najpierwszy dyplomata: zażyj tabaczki.

Śmieszek. Uczniowie więc twoi...

Nauczyciel (z uniesieniem). Podziw...

Śmieszek. Głupców!

Nauczyciel (obrażony). Głupców? Oszczerco — (wyprowadza wyrostka z pośród Gromady). Oto mój uczeń, mój zaszczyt, moja chluba, pomów z nim, a przekonasz się.

(Wyrostek ubrany po miejsku, ma cygaro w ustach, kapelusz na bakier przekręcony, ręce w tył założone, głowę do góry zadartą. Staje na środku sceny. W gromadzie różne wznoszą się głosy:)

Cóż to za dziwo? co to za Maszkara!

(Śmieszek obchodzi go w koło z wielkiem uszanowaniem, przypatruje się i zatrzymuje z lewej strony — zdejmuje kapelusz:)

Kto jesteś jaśnie wielmożna i jaśnie oświetlona Maszkaro?

(Wyrostek niezmieniając postawy, wyjmuje z kieszeni papier złożony i wyciąga z nim rękę ku Glince i Błażejowi).

Nauczyciel (cichaczem do Wyrostka). Przecież zwróć się grzecznie, to ludzie zasłużeni...

Wyrostek (niezmieniając postawy). Stare pruchna, marzyciele, starzy głu...

Nauczyciel (zatykając mu usta). Cicho — cicho! (odbiera mu papier).

Śmieszek. Bene, bene! postępowy.

Nauczyciel (podając papier Glince). To świadectwo na rozum prześwietny sądzie.

Śmieszek (wydzierając papier, przegląda go). Daj go! prześlicznie napisany, co za cugi, jakie wykrętasy.

Wyrostek (w jednej postawie). Jestem światłem światłości!

Śmieszek. Cudownie! bo któż ciemność oświeca.

Wyrostek. Co było to nie będzie, co będzie to nie było.

Śmieszek (skacze jak oparzony). To rozum! a niechże go.. a cóż było Maszkaro?

Wyrostek. Pruchno!

Śmieszek. Pruchno? A co będzie?

Wyrostek. Pruchno!

Śmieszek. Jak to rozumnie, dwie rzeczy bez początku i końca pomieścić w jednym wyrazie.

Nauczyciel (tryumfująco). A co? Czy słuszność nie przy mnie?

Wyrostek. Nie!

Śmieszek i Nauczyciel. Co, co? A gdzie?

Wyrostek. W pięści!

Śmieszek. Brawo, brawo! (zwracając się do Nauczyciela). Wart jesteś pełnej szkatuły, a wtedy staniesz się...

Wyrostek. Mędrcem, bo złoto to mądrość.

(Gromada śmieje się — Nauczyciel zaciera ręce, Śmieszek raduje się).

Nauczyciel (do siedzących). Spodziewam się, że prześwietny sąd...

Śmieszek. Już ja cię uwieńczę, to do mnie należy, wieńcem z pokrzywy.

(podają wieniec, wkłada go na głowę Nauczyciela — ten się broni, Gromada go obstępuje i udaje że go biją i Wyrostka także).

Glinkowa. Wybornie! Jakżebym pragnęła dowiedzieć się kto to taki.

Błażej. Trudno będzie, bo Maszkary to tajemnica.

Glinka. Bądź co bądź, myśl podniesienia oświaty ogólnej godna poparcia.

Śmieszek (do publiczności). U nas myśli to widocznie nóg nie mają, bo się rodzą a nie chodzą.

OBRAZ II.

Żyd (wbiega z przestrachem oglądając się na Gromadę). Z psieprosieniem wielmoznego Śmieszka, kogo oni tak biją, że aż mnie w zębie szczęka w gębie?

Śmieszek. Barana!

Żyd. Barana? A czy on nie ma rogów?

Śmieszek. Ani głowy!

Żyd (z uwielbieniem). Oj! taki bez głów, niech będzie zdrów jak ryba, bo ci co mają głowę, to z niemi wielki kłopot.

Śmieszek. Uciąć ją!

Żyd. Aj! zeby to!

Śmieszek. Albo wyszachrować...

Żyd (obrażony). Szachrować, szachrować! A kto nie szachruje. Wszyscy, tylko każdy na inny manier.

Śmieszek (grożąc). Ej! żydku z potwarzą ostrożnie.

Żyd. Ja wiem co procentu nie daje, to też powiem panu Śmieszkowi w wielkim sekrecie (ogląda się, potem głos przycisza). Pan Śmieszek zna tego... tego... co to rozum, choć go nie ma, a wciska się wszędzie gdzie płacą honorarya, czy to nie oszukaństwo?

Śmieszek. To poświęcenie!

Żyd. Aj, co za poświęcenie, brać a nic nie dawać.

Śmieszek. Rozumniej jak dawać a nic nie brać.

Żyd. A ten co na głowę swoją wiele bierze, a małej rzeczy zaradzić nie umie, czy to nie szacher?

Śmieszek. To człowiek dobrych chęci.

Żyd. Aj waj! A ci co łapią, capią, giełdują i bankrutują, czy to nie oszusty?

Śmieszek. To przemysłowcy!

Żyd. No to już choć ci co wiele krzyczą a nic nie robią, co obiecują a nie dotrzymują, co mówią o cnocie a chodzą w błocie, to już ci panie Śmieszku będą oszukańcy?

Śmieszek. Nie, to Apostołowie.

Żyd (z radością). Prawda, auf majuc mumes, bo ich uczniowie to już boso chodzą.

(Gromada potakując gwarzy).

Glinka. Brawo, brawo! (wszyscy klaszczą w ręce i powtarzają: brawo, brawo!)

Żyd (chodzi zafrasowany). Aj! już nie będzie geszeftów, kiedy za prawdę chwalą! (ogólna rozmowa).

OBRAZ III.

(Wieśniaczka staruszka przygarbiona z kijem w ręku, za nią młody parobczak).

Staruszka. To mój mąż, ale... (śmiech ogólny; uderzając laską o podłogę). Cicho! i czegóż się śmiejecie?

Śmieszek. Jakaś bogaczka, kiedy kupiła młodego męża.

Staruszka. Tak, bogaczka, bo mam stary grosz jeszcze od babki.

Parobczak. To też połakomiłem się na niego i ożeniłem.

Śmieszek. Potęga kapitału! Starość młodość kupuje!

Parobczak. A to było oszukaństwo.

Staruszka (pokazując grosz stary). A czy to nie grosz stary, czy co?

Śmieszek (przygląda się). Prawda, prawda, szczyt operacyi finansowej.

Staruszka. A widzisz. A po coś był chciwy?

Parobczak. Niby to ja pierwszy!

Śmieszek. I nie ostatni.

Parobczak. Ale po coś udawała bogaczkę?

Staruszka. A czy to ja pierwsza taka?

Śmieszek. I także nie ostatnia.

Staruszka. Chodź więc Kubusi...

Parobczak. Ej!

Staruszka. Grosz stary to żart, ale mam naprawdę... talary same srebrne.

Parobczak (uśmiecha się). Czy to prawda?

Staruszka. Jak cię kocham Kubusiu.

Parobczak (ujmując ją pod ramię). To chodźmy moja Józiu kochana (wychodzą pośród ogólnego śmiechu i żartów).

OBRAZ IV.

(Słychać śpiew wesoły — wchodzi Ladaco stosownie ucharakteryzowany podskakując niezgrabnie — w przytupywaniu potrąca Śmieszka — oba wołają: Aj! i rozbiegłszy się spoglądają na siebie bacznie).

Śmieszek (do siebie). Jakaś wielkość, bo potrąca...

Ladaco. Jakiś dudek, bo się nie gniewa.

Śmieszek (z ukłonem). Panie...!

Ladaco. Ludzie nazywają mnie Ladaco.

Śmieszek. Ladaco? Ach! Jaśnie panie.

Ladaco (przybiera buńczuczną minę), Tak to lubię, widać żeś wyedukowany.

Śmieszek. Wypolerowany panie Ladaco — (kłania się).

Ladaco. Czasem lubię sobie podochocić.

Śmieszek (daje sobie przztyczka w gardło). Rozumiem!

Ladaco. Tak, troszkę, ale cóż dziwnego, czy to na wsi, czy w mieście, co róg to próg, a za progiem...

Śmieszek. Kieliszek.

Ladaco. A tak, więc jak tu nie bąbać?

Śmieszek. Jużcić czytać trudno.

Ladaco. Tylko Śmieszku ostrożnie, bo ja żartów nie lubię.

Śmieszek. Czyżbym śmiał z tak dostojnej osoby żartować? Zresztą ludzie na świecie wszyscy jak pijani.

Ladaco. Ho, ho, coś z grubego końca zaczynasz jeść szparagi.

Śmieszek (kłaniając się z uśmiechem). Zbytek łaski. To moje powołanie; wszak panie Ladaco pan zna barona, tego... tego...

Ladaco. Ba! ktoby go nie znał. Na jednych z góry patrzy, a drugich nie widzi.

Śmieszek. Czyż on nie pijany pychą?

Ladaco. To trunek niestrawny.

Śmieszek. A pan Herbowicz co o królu Popielu zawsze myśli, a nie widzi jak myszy tuż przy nim się kręcąc starają się w świat go wyprawić na bosaka. Czyż on nie pijany dumą?

Ladaco Stary to trunek, myszką trąci, więc myszy nie czuje.

Śmieszek. A pan Młodzieniaszek co zamiast łokcia albo młota, chwycił za pióro i ogłosił się geniuszem, i psy wiesza na tych co go nie chwalą. Czyż nie pijany... pewnością siebie.

Ladaco. Czyli...

Śmieszek (przerywając). Sssyt! panie Ladaco, prawdy trzeźwy nigdy nie mówi.

Ladaco. Więc cóż dalej panie Śmieszku?

Śmieszek. A cóż dalej, oto że o trzeźwych coraz trudniej — tylko żaba wyciąga nóżkę do podkucia jak koń dzielny, a tego trzeźwy nie robi.

Ladaco. No zapewne.

Śmieszek. Ta urodę psuje farbą i przemienia się w poczwarę, tamten w pana się zabawia i fantuje nawet duszę — ten choć sławnem zdobny mianem, w błocku nurza się po uszy. Czyż to trzeźwość?

Śmieszek (wskazując na Władysława i Zosię). Patrzaj na tych dwoje... Trusiątka, myślałby kto że oni trzeźwi a oni upojeni kochaniem. Cóż czy nieprawda panie młody? No powiedz, powiedz...

Władysław (biorąc rękę Zosi do piersi). Tak, kocham całą moją duszą, całem sercem.

(Ladaco ze Śmieszkiem usuwają się ze środka sceny, łączą się z gromadą i razem z nią wychodzą za scenę powolnie).

SCENA IX.

Ciż sami oprócz gromady z Maszkarami.

Glinka (powstając gwałtownie z siedzenia). Czyś szalony Władysławie (wychodzi na przód sceny).

Glinkowa. Władziu!

Władysław Wybaczcie moi rodzice...

Błażej (podnosząc się, staje między Glinkami). Jakto panie, to żeby moje dziecko poczciwie ukochać, to trzeba być szalonym?

Glinka. Mój sąsiedzie...

Błażej. Co długie lata rosło, ty panie teraz jednem słowem stargałeś. Gdybym ci mógł otworzyć swe serce... Jam zawierzył jak samemu sobie, a ty panie...

Zosia (przybiegając do ojca). Ojcze uspokój się.

Błażej. W tem domóstwie zestarzałem się, w niem ojcowie i dziadowie moi w grób się układli, te ściany, te drzewa, słyszały tylko słowa poszanowania, na mnie pierwszego spadła pogarda, gdzież się ukryję, aby i one mną nie pogardziły?

Zosia. Tu przy mojem sercu ojcze, ono cię nigdy nie zawiedzie (bierze go za rękę i do ust tuli).

Błażej. Moja Zosiu!

Władysław. I przy mojem ojcze Błażeju (bierze rękę i tak samo do ust ją przytula).

Błażej (spogląda na nich z czułością). Moje dzieci... nie!... (przyprowadza Władysława do Glinków) to wasz syn, a ja przy swojej Zosi zostanę...

Zosia. Na zawsze ojcze, na zawsze!

(w głębi pokazuje się kilka osób z Gromady. Za sceną słychać gwar zabawy i muzykę wiejską — Władysław rozmawia z Glinkami — Śmieszek wbiega i staje na środku).

Śmieszek. Gromada zaprasza prześwietny sąd na zabawę, już wszyscy są zgromadzeni, a Maszkary domagają się nagrody.

Glinka. Zaraz przybędziemy.

(Śmieszek wybiega i trzaskając z bicza wołając hej! Maszkary! Maszkary!

Glinka. To pójdźmy panie sąsiedzie.

Glinkowa. Drobnostka taka...

Błażej (spogląda na nich z oburzeniem, po chwili mówi). To chodźmy Zosiu. Idą razem wolno.

(Glinka spogląda za nim smutnie i po chwili wyciągając ręce mówi z czuciem).

Glinka. Błażeju, po tylu latach szczerej przyjaźni naszej, czyż tak mamy się rozłączyć?

Błażej (jakby przypominał sobie). Ten głos, ta mowa poczciwa...

Glinka. Czyś zapomniał Błażeju naszych lat chłopięcych? Zawsze razem, zawsze z sobą, kochaliśmy się jak bracia, mamyż o braterstwie naszem zapomnieć? Błażeju kochany!

Błażej (rozrzewniony). To nieudanie, to prawda... (wyciąga ręce ku Glince). Mój panisku, mój bracie serdeczny... powstrzymuje się, ręce bezwładnie mu opadają). Gdyby nie przeszkoda...

Glinka (ściskając mu rękę). Nasze dzieci ją usuną, czyż to nie mamy pomocników?

(Zosia, Władysław i Glinkowa zbliżają się).

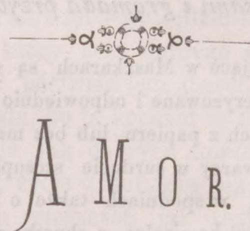
Zosia z Władysławem (do Błażeja). Ojcze!

Błażej (spogląda po wszystkich, rozwesela mu się oblicze, po chwili). Ha! jeżeli taka wola Boża!

Glinka. Tak mój bracie, mój stary przyjacielu.

Błażej. Dzięki ci Panie. (Zdejmuje kapelusz, wznosi oczy w górę, Glinka opiera rękę na jego ramieniu, Glinkowa z jednej strony Błażeja spogląda na niego z rękami złożonemi, po drugiej Władysław trzyma rękę Zosi przy ustach — Gromada cała z Maszkarami w głębi sceny ugrupowana stosownie, spogląda w milczeniu z ciekawością wyciągając głowy).

Kortyna zwolna zapada.



W Olimpie powstał zamęt pomiędzy bóstwami
Cóż się stało? „Amora nie ma między nami!“
Płaczą wszystkie boginie, a Wenus zemdlona
Bo cóż bez strzał Amora teraz pocznie ona?
Merkurego nakoniec wysłali na zwiady:
Gdzie on jest? może zdradne więżą go Najady?
Może wplątał się w siecie? może zbłądził w lesie?
Wraca poseł, i taką boginiom wieść niesie:
„Znalazłem go — choć nie jedną przebyłem ja walkę,
Piękne bóstwa! wy macie na ziemi rywalkę!
Pełne blasku i życia są jej czarne oczy,
I w nich to Amor znalazł zakątek uroczy,
Tam zamieszkał, i ztamtąd ten nasz figlarz mały
Na wszystkie strony rzuca czarodziejskie strzały!“
— Co? zwykła śmiertelniczka śmie go więzić? Nieba!
Za taką zbrodnię kary, kary jej potrzeba!
Lecz jakież jest jej imie? gdzie jej szukać mamy,
Jak ją wśród tylu innych odróżnić zdołamy?
Tu zamilknął Merkury! zapomniał zapytać,
O jej imię! A teraz nie może ją schwytać.
Znów na ziemię swych gońców wysłały boginie,
By przynieśli wieść jaką o zdradnej dziewczynie.
Lecz daremnie błagają u ludzi litości,
Nikt powiedzieć im nie chce gdzie Amorek gości....
Ja znam wprawdzie figlarkę co strzela oczkami,
Zowie się...... nie, nie powiem, domyślcie się sami!

Korespondencya z Londynu.

Sezon londyński. — Uroczystość w Coventry. — Skandaliczne wydawnictwo. — Mieszkania dla biednych wyrobników z funduszu Peabody'ego. — Wyrób i handel obrączkami ślubnemi. — Fabryki maszyn do szycia. — Zjazdy duchowieństwa protestanckiego. — Stowarzyszenie odrodzenia złodziei przez pracę. — Meetingi w kwestyi przyznania kobietom prawa głosowania. — *Shakespeare'a Memorial.* — Wystawa pamiątek i konkurs na pomnik i posąg Byrona. — Wystawy malarstwa. — Ouida i jej powieści włoskie.

(Dokończenie).

W drodze rzeczywiście bardzo mu się przydała, bez niej nie umiałby sobie radzić, ona zaś pochlebstwem, podejściem lub kłamstwem wszystko co chciała umiała wyłudzić. W Prato Signa grywał na publicznych placach, a Gemma zbierała datki, a jak doskonale odgrywała swoją rolę! Chodzi tu tylko o dwoje dzieci, ale jakże wybornie Ouida

przedstawia w tym chłopczynie wzniosłą dumę, i bezinteresowność geniuszu, oraz chytrość, przebiegłość, chciwość i wszelkie przywary i wady przyszłej zalotnicy, kiełkujące w duszy Gemmy, malujące się w jednym postępku, słowie lub spojrzeniu, które najdoskonalej zastosowane do jej wieku, dozwalają przecież przewidzieć jaka z dziecka tego będzie kobieta.

Bruno puścił się za niemi w pogoń i po długich poszukiwaniach spotkał ich nareszcie w Livorno, udało mu się skłonić Signa do powrotu, ale Gemma idąc za radą jednego z tych nikczemników spekulujących na piękność lub talenta dzieci, znikła gdzieś bez śladu.

Ta ucieczka małej ukochanej dziewczynki była pierwszem rzeczywistem cierpieniem Signa, Czas jakiś przebył u Brunona, gdzie znowu uczył się muzyki od Luigs Dini, nareszcie widząc jego smutek Bruno sprzedaje ulubiony kawałek ziemi który nabył ceną krwawej i długiej pracy i oddaje go do szkoły muzyki w Bolonii. Tu, jak się to zwykle dzieje w romansach, Signa w bardzo krótkim przeciągu czasu pisze i przedstawia operę *Aktea* która nader świetnego doznaje przyjęcia, zostaje ulubieńcem dam wielkiego świata; Bruno szczęśliwy jest że mógł poświęcić się dla niego, a Palma, choć pojmuje iż teraz już Signa, którego kocha więcej niż braci, więcej niż własne szczęście, nie może mieć nic z nią wspólnego, ofiaruje obraz do kościoła i modli się aby coraz wyżej stawał na drodze mającej go na zawsze od niej oddalić.

Wiedziony wdzięcznością Signa wraca do swej wioski, aby u stóp Brunona złożyć pierwsze swe laury; prześlicznie opisany jest ten powrót, radość i duma Brunona, przyjęcie wieśniaków i rzewny smutek Palmy, która niedawno właśnie obcięła, i sprzedała czarne swe warkocze aby mieć za co pochować zmarłego ojca, a teraz boleje nad tem iż taka zeszpecona ukaże się ukochanemu. Dotąd powieść poprowadzona z niezaprzeczonym talentem, to też mamy do zarzucenia autorce że koniec nie dorównywa początkowi.

Signa, długo obojętny na awanse robione mu przez piękne panie wielkiego świata, kocha wyłącznie sztukę, ale nadchodzi chwila kiedy aniołowie jego marzeń przyodziewają postać kobiecą, i jedną z nich zdaje mu się jakby znajomą, oczekuje jej zawsze, nadaje imię *Lamia* z zamiarem zrobienia z niej bohaterki przyszłej swojej opery, a kto wie czy w głębi serca nie nazywa jej zawsze Gemmą. Odtąd zaczyna się słabsza strona powieści. *Signa* przestaje być wiernym i zajmującym obrazem obyczai i charakterów wieśniaków toskańskich, mamy już tylko tylokrotnie powtórzoną walkę między oszołomionym geniuszem i obejmującym go w swe sidła występkiem, między szczerą i wzniosłą a zapoznaną miłością, a bezduszną pięknością zawsze zwycięzką. Signa ginie jak ofiara nowej Dalili oklepany to już przedmiot i sama autorka tak obszernie rozpisała się o nim w swej powieści *Puck* w której obok człowieka zużytego rozwiązłem życiem, przedstawia dwie kobiety, jedną nikczemną bezwstydnicę, drugą idealnie doskonałą, poświęcającą się nieograniczenie a w końcu zła tryumfuje i wszelkie podłości uchodzą jej bezkarnie.

Trudno mi wytknąć Ouidzie że zawsze cnocie tak smutne przeznacza losy czyż takie już jest nieuchronne jej przeznaczenie na świecie? W każdym razie nie należy bezwarunkowo rządzić się tą zasadą w powieściach, które jeźli nie powinny być tkaniny ckliwych morałów i zawsze wynagradzać cnotę bo na ziemi nie zawsze się tak dzieje, to z drugiej strony nie godzi się jakby zniechęcać i obrzydzać cnotę wszystkim co nie mają sił ani chęci zostania męczennikami.

Nieszczęście chciało że Signa zobaczył obraz malarza Istriel'a, w którym tenże, niby pod postacią siostry siedmiu tancerek w Herkulanum, przedstawił Gemmę nagą. Spadła ona na najwyższy szczebel zepsucia i hańby i jest obecnie kochanką Istriela, którego zdradza jak zawsze od dziecka zdradzała i oszukiwała wszystkich. Niedługo potem Signa wypadkowo zobaczył ją kąpiącą się przy świetle księżyca w strumieniu przepływającym jej ogród, i odtąd stał się jej niewolnikiem, znikczemniał w jej ręku, ogień sztuki wygasł w jego duszy. Pewnego dnia podczas karnawału, Bruno przybywszy do Rzymu czuwać nad przybranym synem, ujrzał go leżącego u nóg nędznicy; dla zrobienia z niego wielkiego człowieka, wyrzekł się ziemi użyźnionej jego krwawą pracą, teraz poświęci życie, narazi się na utratę zbawienia, byle wyzwolić Signa z sideł nędznicy. Wydziera jej życie a ta scena zabójstwa opisana jest drobiazgowo z talentem Dumas'a; zapóźno, Signa umiera zabity zdradą Gemmy, przynajmniej został pomszczony. Do ostatniej życia chwili Bruno przedstawiony jest jako ideał poświęcenia i zaparcia siebie. Gdy już wszedł na rusztowanie i towarzyszący mu kapłan zaleca mu aby się modlił o zbawienie swej duszy, odpowiada: Niech moja dusza idzie na potępienie, ale niech Bóg *jego* przyjmie do swej chwały. Romans zaczęty jak idylla, kończy się jak straszny dramat. Zarzucić trzeba autorce że się lubuje w scenach wstrętnych i drażliwych, posuniętych nie raz do ostatnich granic a nie usprawiedliwionych tem nawet że się w nich jakaś wielka zawiera nauka. Drugą wadą autorki jest że pisze za rozwlekle, jedne i też same ustępy nie raz prawie dosłownie powtarza po kilka razy, pomimo to zaliczyć ją trzeba do najlepszych dzisiejszych powieściopisarzy angielskich.

Ariadna są to znowu dzieje najszlachetniejszej kobiety która umiera jako ofiara niezłomnej wierności dla swej jedynej miłości.

Gioja jest to biedna sierota, nikomu w Rzymie nieznana, nie mająca dachu ani rodziny, szewc Krispin ofiaruje jej przytułek w swoim domu a sławny snycerz Mary przyjmuje ją na uczennicę; pojąłby ją nawet za żonę ale Gioja żyje tylko dla sztuki, jest to jedyna jej namiętność. Piękna jak arcydzieło Pratelesa, spokojna, obojętna na wszystko, na wszelkie pochwały i hołdy, nie mająca najmniejszego pojęcia o zasadach chrześciańskich, zimna jak marmur który obrabia, pracuje tylko i marzy dopokąd miłość nie zapaliła się w jej sercu. Pokochała poetę Hilariona, zużytego sceptyka, dla którego miłość jest jedynie środkiem pobudzającym natchnienie, polem do doświadczeń i badań. Zapragnął poznać jak też bić będzie to serce dziewicze dotąd zimne jak marmur, ale doświadczenie sprzykrzyło mu się prędko, przeraził się prawie tej wzniosłej natury i niepokalanej czystości, przecież jedyne nie zamarłe w nim uczucie artystyczne i poszanowanie piękna nie dozwoliło mu poniżyć jej jak innych swoich kochanek, ale porzuca ją i prawie znienawidził za wszystko co sam względem niej zawinił, nawet za szlachetne jej przebaczenie. Natchniona miłością, Gioja arcydzieło wykuła z marmuru, opuszczona nic dokonać nie może, rozpacz zabiła artystkę. Gioja dostaje obłąkania zmysłów, to chwilowa ulga w jej cierpieniach. Nareszcie odzyskuje rozum, geniusz artystki jednocześnie budzi się do życia; postanowiła zrobić uidealizowane popiersie niewiernego, aby zobaczywszy je przypomniał sobie o niej. I przypomniał sobie rzeczywiście, i może żałował, nie wrócił jednak aż w chwili gdy artystka którą o śmierć przyprawił ostatnie miała wydać tchnienie. W tej dopiero strasznej chwili prawdziwie pokochał swą ofiarę, kocha, a ona umarła — odniósł więc zasłużoną karę.

W tym romansie jest wiele niezrównanych piękności, ale może znowu za wiele erudycyi mitologicznej.

Najwięcej ma dla mnie powabu trzecia z kolei powieść włoska, p. n. *Pascarello.* Jest to fantazya poetyczna, przenosząca czytelnika w świat może nieprawdopodobny ale tak uroczy i ponętny iż żałować trzeba że nie jest rzeczywistością. Treści prawie nie ma a przynajmniej prawie niepodobna jej określić.

W wieczór karnawałowy w Weronie, młodziutka śpiewaczka uliczna pokryta strzępami atłasu i aksamitu, zapoznaje się z wędrownym komediantem Paskarellem, żywa sympatia, jednakie umiłowanie sztuki i przygód łączą ich z sobą i w jednej truppie wędrują po Włoszech. Może to tylko pozór aby autorka mogła oprowadzić czytelnika po Bolonii, Florencyi, dolinie Arno, Pizie, Assisie i Urbino, gdyż wędrowna truppa przebywa z kolei wszystkie te miejscowości, a wszędzie wieśniacy witają ich z radością i przyklaskują z zapałem. Jakże to mistrzowski opis! Ktokolwiek czytał *Pascarella* zapragnie udając się do Włoch mieć go za przewodnika.

Czytając Ouidę trzeba polubić lud włoski, tak pełen wdzięku, grzeczny, uprzejmy, naiwny nawet w kłamstwie, znający tak dobrze stare swe dzieje i dzieje swoich wielkich ludzi, które opowiada z dumą i miłością zarazem. Śmiech jego to jakby muzyka, w każdym ruchu, w każdej pozie objawia się poczucie piękna, tak że każdy niemal *barcarole* lub *facchino* śpiący gdzieś na ulicy, mógłby za model służyć snycerzowi. A cóż dopiero jeźli malowniczy ten lud zelektryzuje uczucie narodowe! Zrozumiała to autorka; *Pascarel,* kończy się przy odgłosie armat i okrzykach tryumfu, rozpoczyna się kampania której Garibaldii był bohaterem, chwalebna wojna o niepodległość włoską. Wędrowny komediant został żołnierzem i stał się jednym z najczynniejszych, najwaleczniejszych wojowników. We Florencyi lud wita go i wielbi jak bożyszcze, tu także spotyka się ze swoję Douzellą ukochaną, która opuściła go powodowana bezzasadną zazdrością, a tak westchnienia szczęśliwych kochanków, mieszają się z okrzykami radości ludu. Włochy są oswobodzone a oni zawsze kochać się będą. Śliczna jest ta ostatnia scena odnajdujących się kochanków, jest to przedstawienie uczuć czystych, wzniosłych, zawsze prawdziwych, gdyby Ouida takie tylko przedstawiać chciała i sława jej i czytelnicy wiele zyskaliby na tem. Są sceny, są obrazy które choćby najdoskonalej przedstawione zawsze rażą delikatność i przyzwoitość, a jakąż budzą odrazę jeźli je kreśli pióro kobiety!

Czwarty włoski romans Ouidy *Ina Winter city.* (W zimowem mieście). Czytelnicy znają już z polskiego przekładu.

Główną wadą Ouida jest rozciągłość i powtarzanie się, zbytnia drobiazgowość w opisywaniu toalet, za długie dialogi i nudniejsze jeszcze monologi, oraz zbyt pedanckie rozprawy, przez co powieści jej niezawsze nadają się do fejletonów, gdyż nużą czytelnika zbyt długiem zatrzymywaniem w jednem, często zupełnie nie zajmującem miejscu. *I. C.*

LISTY Z TORUNIA.

M. D. Chamskiego.

VI.

Niższa warstwa mieszczaństwa toruńskiego, posiada nierównie więcej przymiotów dodatnich, aniże-

li wyższa, zwłaszcza też kupiectwo. Wśród tej niższej warstwy, spotkać można tak oryginalne typy pod względem obyczajowym, a nawet społecznym, typy pod względem literackim i artystycznym zupełnie nie wyzyskane, że istotnie stanowią one bogaty materyał dla powieściopisarza i komedyopisarza... Żyje jeszcze np. po dziś dzień znana całemu Toruniowi i okolicy, przekupka włoszczyzny nazwiskiem jejmość Sapatowska. Handel, jaki prowadzi *zieleniną*, daje jej dosyć znaczne stosunkowo dochody; odznacza się ona nadzwyczajną miłością rzeczy swojskich, i głęboką niechęcią do niemców. Kobieta ta już w wieku, bezdzietna, przysposobiła sobie wychowańca, któremu dała odpowiednią edukacyę i którego głównem zajęciem było czytywanie głośno dzienników polskich swojej opiekunce. Abonuje ona kilka ludowych pism, kupuje dużo książek, a w wychowańcu swoim tak umiała rozwinąć zamiłowanie do czytania, że chłopak z oszczędzonych pieniędzy utworzył sobie wcale pokaźną bibliotekę. Nieszczęściem, skutkiem pracy, czy też z natury, nadwątlonego organizmu, a może z powodu jednego i drugiego, chłopak ten dostał suchot i niedawno zmarł... Po jego śmierci Sapatowska osowiała, ale bynajmniej nie porzuciła dawnego zajęcia. Odznacza się ona dziwnie jasnym poglądem na rzeczy i prawdziwym naturalnym dowcipem, którego nie jedna dobrze wychowana pani, mogłaby pozazdrościć... Do rozmowy jest skłonna, a rezonować lubi bardzo, a tak jest przejęta misyą szerzenia oświaty, że umyślnie prenumeruje kilka egzemplarzy pisma ludowego: „Przyjaciel,“ aby rozdawać go darmo pomiędzy niezamożnych znajomych swoich...

Prawdę rżnie w oczy każdemu, ale jednak nikomu nie ubliża. Niemcy znają ją dobrze i boją jej się. Razu pewnego, gdy na poczcie odbierała jakieś zapisane przez siebie książki, urzędnik zapytał ją żartem:

— A dla czego to pani Sapatowska niemieckich książek wcale nie kupuje?...

— Bo nie jestem niemka...

— No, toć ja też nie polak, a dla tego polskie książki i gazety czytam...

— Takie to i czytanie...

— Jakto?

— Juści... E! pan żadnych książek nie czyta, bo gdyby jegomość czytał, choćby niemieckie nawet, to byś był mądrzejszy... A tak cóż wyłysiałeś jegomość, zęby mu popruchniały, gęba się wykrzywiła, starzyzną pana słychać, a ciągle tylko siedzisz na tym pocztarskim stołku i liżesz jegomość marki, żeby ich przylepiać do kopert, albo młócisz stemplem listy... O, la Boga, toć ja baba prosta, co wej tylko pietruszkę sprzedaję, a toćbym to samo potrafiła...

— Schon gut! schon gut! zawołał po uszy zaczerwieniony niemiec, i zasunął okienko, aby nie słuchać dalszych wywodów kobiety, która. jak już raz na taki temat wpadnie, trudno ją powstrzymać.

Jedną tylko słabość ma pani Sapatowska: wymaga, aby ją nazywać *panią* i jeśli kto użyje innego tytułu, dotkliwie czasem przypomni mu swoją godność. Zdarzyło się raz, że jakiś urzędnik niemiec z magistratu świeżo tranzlokowany do Torunia, który naturalnie nigdy o pani Sapatowskiej nie słyszał, a tem mniej ją znał, targował od niej coś z włoszczyzny. Niemiec mówił źle po polsku, ale mówił, a gdy podana cena zdawała mu się za wysoką, rzekł łamiąc język:

— To zaś za drogo...

— A to niech pan nie kupuje.

— No, kiedy mi potrzeba.

— A to niech pan kupi.

— No co ona taka harda!...

— A wej go, rzekła, ona! ona! *Ona* to wrona, a *on* to pies...

Pani Sapatowska niezmiernie lubi teatr. Ile razy jest amatorskie przedstawienie, musi się na niem znajdować, a gdy parę miesięcy temu towarzystwo dramatyczne Grabińskiego przez dwa tygodnie dawało przedstawienia w Toruniu, pani Sapatowska znajdowała się na każdem w pierwszym rzędzie krzeseł przybrana świątecznie w ogromnym czepku z zielonemi wstążkami...

Ta klasa niższa mieszczańska w takim Toruniu i w innych miastach Prus Zachodnich — pomimo nadzwyczaj silnego nacisku niemieckiego, pomimo biedy i wcale niesprzyjających dla niej ekonomicznych warunków — potrafiła jednak w całej sile utrzymać swoją narodowość, odrębność obyczajową, a przy tem wszystkiem silne i głębokie przywiązanie do wiary ojców swoich. Pod tym względem ludzie są na wskroś konserwatystami... Jak wierzyli ich przodkowie wówczas, gdy chrześciaństwo nad brzegi Wisły nowe światło przyniosło, tak samo i oni dzisiaj wierzą. To, co zostało z pogańskiego pierwiastku wiary i co się zbratało z chrześciaństwem zaraz w samym jego początku — przetrwało do dnia dzisiejszego w sumieniu tutejszego ludu miejskiego i wiejskiego. Germanizm nurtujący w tych stronach od tylu lat, nie zdołał zatrzeć oryginalnych etycznych cech słowiańskich. Przeciwnie, parcie germanizmu, wpłynęło niechcący na niezmiernie silne trzymanie się tradycyi i na wyrabianie się indywidualizmu społecznego. Kto ma czas i talent obserwowania a dobrą wolę, ten z łatwością może się przekonać, co to za bogactwo rodzimej kultury słowiańskiej spoczywa w tych masach zbiedzonego ludu po miastach i wsiach tutejszych... A jednak jest to lud; któremu germanizm nietylko serce wydrzeć się starał, nietylko spychał go z tego kawałka ziemi, na której się przodkowie jego urodzili i pomarli, ale odejmował mu ostatni kęs chleba od ust, wydzierając mu zarobek, wydzierając mu przemysł, wydzierając mu handel... O tym ludzie, szczególniej w Prusach Zachodnich, mamy, albo niedokładne albo zupełnie fałszywe wyobrażenie... I nietylko o samym ludzie, ale o wszystkich stosunkach tutejszych, tak samo... Nasi przelotni turyści, popatrzywszy się przez szyby hotelu lub restauracyi, wracają do domu z tem przekonaniem, że tu wszystko zniemczone, bo kelner nie umiał po polsku, lub źle mówił tym językiem, bo w restauracyi *spis do jadła* tylko widział po niemiecku, bo wreszcie dano mu w cukierni prawdziwą niemiecką kawę, przez którą widać kwiatek wymalowany na dnie filiżanki. Z tymi kulinarnymi argumentami wraca do domu i szerzy najbłędniejsze pojęcie. Przyjedzie np. do Torunia, obejrzy pomnik Kopernika i dom, gdzie się urodził, jeżeli wie o tem, że Toruń jest rodzinnem miastem wielkiego polskiego astronoma, obejrzy jakie drzwi starożytne, o których się przypadkiem dowie od stróża biedaka, co mu buty w hotelu czyścił, wejdzie na wieżę ratuszową, przejedzie się dorożką do cegielni i już wszystko widział i już wszystko wie. Znam osobiście takich, którzy nawet mają się za kawałek literata i którzy w Toruniu po pół roku i więcej siedzieli i dowiedzieli się tylko o piernikach i o tem, że u Mazurkiewicza najlepiej jeść można, dając mu za to wspaniałomyślnie patent na *Stępka toruńskiego*... A warto, doprawdy, temu wszystkiemu blizko się przyjrzeć...

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Helenie I. w Niszowcach. Salopa futrzana z ładnych i lekkich lisów, kryta wełną bez kołnierza, kosztuje od rs. 75. Kołnierzyk skunksowy od rs. 8.

Pannie Marylli Z. w Legezinie. Dołożone pieniądze za N-ra Bluszczu odebraliśmy.

Pani Maryi B. w Mozyrze. Do posłanych książek w m. Kwietniu, dołożyliśmy kop. 41.

Opis ryciny kolorowej.

Fig. 1. Ubranie domowe. Suknia z materyału wełnianego oliwkowo zielonego koloru, ma vêtement długie, bardzo mało podpięte, urządzone do zapinania z tyłu; wykrój szyi podłużnie otwarty. Do przyozdobienia służy haftowany galon jedwabny, kokardy, wypustki i podszycie plisowania u dołu, wszystko z materyi faille koloru lipowego.

Fig. 2. Ubranie małej dziewczynki. Sukieneczka princesse kwadratowo pod szyją wycięta, skośnie z przodu zapinana z krótkiemi rękawkami, wykończona jest z alpagi jasno piaskowej. Formę sukienki dopełnionej z tyłu fałdowaniem znaleźć można na arkuszach z krojami, jakie dodajemy do N-rów. Przybranie i guziczki dodane z materyi cardinal; skośne zapięcie kończy się pod sutą kokardą; dół przedniego bryta zdobią płaskie fałdy przedzielane rzędami wąziutkiej falbaneczki objętej materyą cardinal.

Fig. 3. Ubranie i kołyska dla dziecka. Półbatystowa sukieneczka ma cały przód ozdobiony haftem angielskim, brzegi zakończa marszczona haftowana falbaneczka; z tyłu długie szarfy zdobne na końcach haftem i falbanką. Kołyska na żelaznym lakierowanym niebiesko i biało postumencie, przybrana niebieską materyą i białym muślinem. Kotara przysłaniająca kołyskę i spadająca aż do ziemi sfałdowana jest w górze pod sutą kokardą z podwójnie wziętej materyi; pościel i kołderka pokryte niebieską materyą, zdobne plisowaniem muślinowem 11 cent. szerokiem.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się rycina kolorowa.



ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 15 (27) Сентября 1877 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.